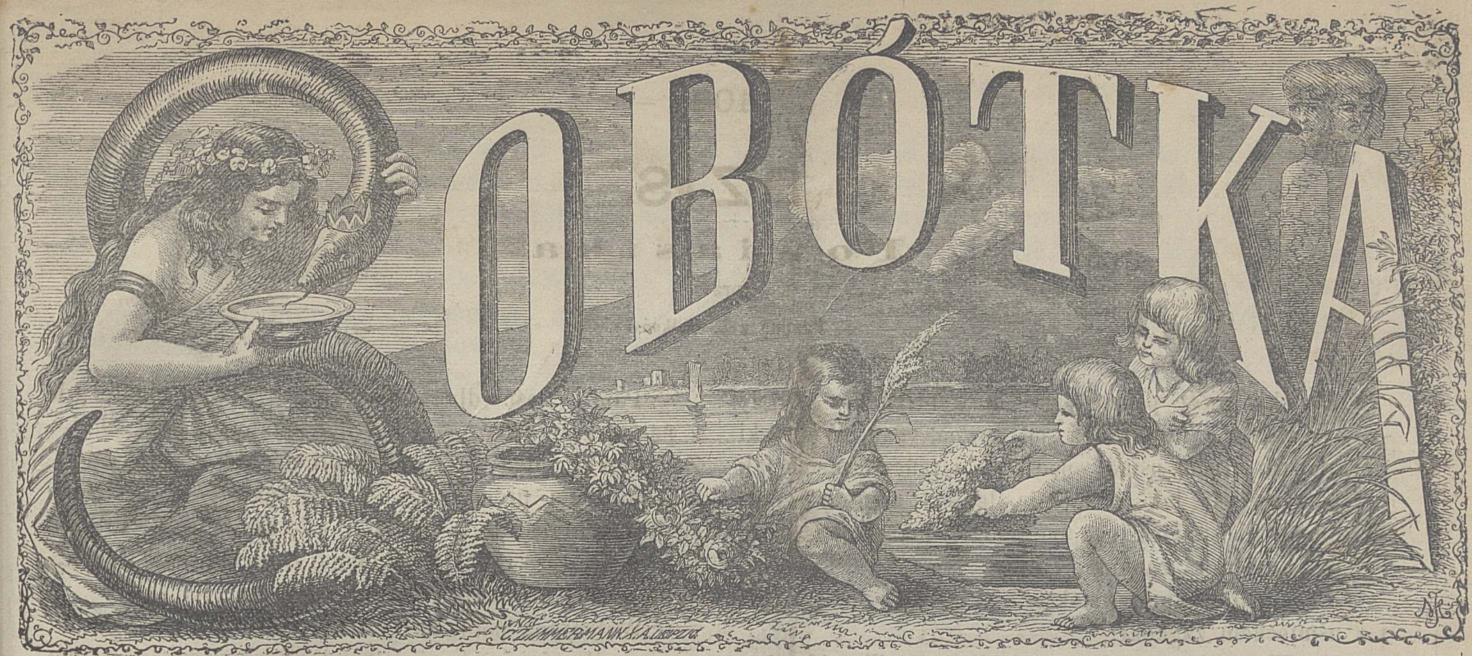


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 50. Poznań, dnia 11 Grudnia 1869. Rok I.

Klementyna z Tańskich Hofmanowa.

ur. 1798 † 1845.

Nie ma w literaturze polskiéj XIX wieku piękniejszéj niewieściéj postaci, jak Klementyny Hofmanowéj. Zasługi jéj około wykształcenia młodego pokolenia są tak wielkie i na tak trwałych podstawach budowane, że na długo jeszcze prace jéj będą najmilszym podarkiem i rozrywką dla dziecka polskiego. Zacna ta Polka, wychowana w domu panny Szymanowskiéj, rychło, bo już w 17 roku życia, zabrała się do prac literackich i pierwsze swe utwory drukowała po czasopismach, podpisując je pseudonymem: „młoda Polka.“ Winniśmy tu dodać, że początkowe wychowanie odebrała Klementyna w duchu i języku francuzkim, dopiero śliczny wiersz, a raczéj prośba za językiem ojczystym, napisana przez Kazimierza Brodzińskiego, trafiła do pięknéj jéj duszy, i z gorliwéj przedtem Francuzki, zrobiła ją pełną poświęcenia Polką. Rzeczywiście, poezya ta tak silne na naszéj autorce wywarła wrażenie, że z nadzwyczajną skrzętnością zabrała się ona do studyów nad mową ojczystą — wynikiem czego były późniéj jéj powszechnie cenione prace literackie. Klementyna nie była piękną; ospa, która ją do reszty oszpeciła, odwarała ją, że tak powiem, od ułud światowych; Tańska zagłębiała się wewnątrz i ze skarbnicy serca swego wydobywała te nieoszacowane perły literatury, które tak długo świecą blaskiem swoim. Rychło też zwrócono uwagę na jéj prace; zostały one należycie ocenione i uznane, i dom Klementyny stał się miejscem zbioru najinteligentniejszych osobistości. Wkrótce jednak o rękę jéj oświadczył się człowiek pełen powagi i wziętości — i nie długo, zacne swe imię zamieniła Tańska na inne, pełne szacunku — nazwisko Hofmanowéj. Z prac jéj drukiem ogłoszonych, największą wartość literacką posiadają: Rozrywki dla dzieci, Pamiątka po dobréj matce, śliczny Dziennik Franciszki Krasińskiéj, powieść: Amelia matką, Krystyna, Karolina, Jan Kochanowski itd. Po swojém zamążpójściu Hofmanowa kraj opuściła, zwiedziwszy z mężem Francyą, Włochy, Szwajcaryą i Belgią. Wśród ciągłych prac choroba piersiowa, która się szybko rozwijała, wydarła nam jednę z najzacniejszych Polek, jednę z najcelniejszych autorek. Klementyna Hofmanowa umarła w Passy pod Paryżem, a rodacy wystawili jéj dwa pomniki: na cmentarzu Montmartre i na Père Lachaise.

b.



Drzewo mleczne. (Patrz Rozmaitości.)

DZIS.

Powiastka

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg).

Po chwilowéj pauzie pary do kontredansa stanęły — i Walentynę zamówioną od dawna, pan Węgrocki uprowadził. Leon usiadł opodal — i tańczyć nie chciał; przypatrywał się, jak wdzięcznie, lekko, z gracyą nieokreśloną, ubóstwiona jego, po gładkiéj mknęła posadzce, i o reszcie świata zapomniał niby.

Po chwili znajomy doktor X. usiadł obok niego i z uśmiechem zagadał:

— Węgrocki w siódmém niebie; szczęśliwość w każdym jego rysie widoczna.

— Dla czegóż to? zapytał Leon, jakoś dziwnie dotknięty.

— Wiadomo, że kocha się szalenie w pannie Walentynie. Tańczy z nią, trzyma jéj rączkę i jest szczęśliwy.

— Kocha się?

— Szalenie.

— I co?... co? jąkał się Leon.

— Myślę, że cel swoich najgorętszych życzeń osiągnie.

— Tak?... Ha!... — Leon pięść ścisnął, że aż popękała biała rękawiczka.

— Dobrze wyglądają z sobą: ona jest wyobrażeniem wdzięku, on siły. Przyjemny, dobry człowiek, zacny, poczciwy, wykształcony. A jeszcze, jest to i tak zwana dobra partya, odkąd wygrał na loteryi 15,000 talarów.

— Wygrał... — Leon machinalnie powtórzył.

— A tak. Nauczycielstwo jego czyni mu sześćset.

— Hm... Tak... To dosyć.

— Jest więc e p u z e r e m pożądanym, i wybierać może. Aleć on już wybrał; kocha się od roku, a wygrana teraz postawiła go c a c a n i e.

— A panna? głucho wyrzucił Leon.

— Myślę, że nie odmówi, bo to byłoby dziecińkstwem. Zresztą przecież on i podobać się może. Patrz, patrz, panie, jaki szczęśliwy!... I panna patrzy wesoło. Śliczne dziewczę! Ma gust dobry Węgrosio. A jeszcze i zacna to panienka, anielska, z wyższém wykształceniem, a skromna.

Leonowi w uszach dzwoniło.

Nastąpiła piąta figura, zakończona polką — i aż się porwał, zazdrości uczuciem miotany, gdy wdzięczna postać, z wieńcem z astrów nad czołem, w objęciu Węgrockiego lotnie przed nim mignęła. Powstał — patrzał się za nimi — i drugą podarł rękawiczkę. Cała z nim obracała się sala — byłby chciał roztrącić wszystko — ciężko, duszno mu było — a czoło niby żelazna opasała obręcz.

Węgrocki odprowadził swoją tancerkę na miejsce. Kazał się przedstawić pani Wiesławskiéj, i za krzesłem Walentyny stanął. Leon szalał we wnętrzu — chciał przystąpić — posunął się i cofnął znowu.

Pauza dość długa potrwała. Węgrocki ciągle z panną rozmawiał — Leon był, jakby na mękach. — Zadźwiękła polka — i przystąpił do niéj z półukłonem. Z uśmiechem uroczym podała mu rękę — i poślizgnęli za drugiemi parami. Okrążyli salę raz jeden — i drugi.

— Jeszcze raz! z cicha błagał zakochany. — Pani!... Walentyno!... Aniele!... oblecieli raz trzeci salę.

Walentyna pobladła.

— Raz jeszcze! nie chciał jéj popuścić — o mój aniele!... Szaleję!... Pani, Węgrocki niczém ci nie jest?

— Nie... nie... — pochyliła się nagle jak złamana lilijka, a usta jéj purpurowy sfarbował strumień.

— Jezus! jęknął młody.

Obwisła w jego ręku — z ust krew płynęła. Silném objął ją ramieniem — jakoby puch lekki do przyległego wyniósł pokoju i na kanapie położył — więcéj martwy, aniżeli żywy.

Zrobiło się zamięszanie. Wszystko biegło. Wołano doktora. Przydążyła pani Wiesławska — Ida — i widziano, jakby grobowe Węgrockiego oblicze. Doktór nadbiegł i tłum niepotrzebny oddalił — a w tym tłumie byli także Węgrocki i Leon. Pierwszy rzucił się na krzesło przy drzwiach, i czoło oparł na dłoni Drugi wybiegł na ulicę — i niby mrozem powietrza chciał ból trwogi ukoić.

Walentyna zemdlała. Doktor jéj przytomność przywrócił. Pani Wiesławska rozerwała sukienkę zbroczoną — jeszcze jeden strumień... i raz wtóry zemdlenie... Wreszcie sztuka lekarska to silne wzburzenie stłumiła. Polecił, by ze dwie godziny wypoczywała — leżała spokojnie i nic nie mówiła. Pozostał się troskliwy — dawał chłodzące lekarstwo — i siadywały przy niéj naprzemian, pani Wiesławska, żona dyrektora szkół — i jeszcze inne panie.

Zwolna złe przeminęło. Doktor nie odstąpił jéj wcale, a czuwał ciągle. Rzucanie krwi ustało — i niby uśmiech powrócił. A błagała tylko, by matki jéj nie zatrwożyć.

Leon powrócił na salę — ochłodły, zziębnięty, blady — i przystąpił do pani Wiesławskiéj.

— I cóż, mamo? Jakżeż tam? zdołał zaledwo zapytać.

— Dobrze zupełnie teraz. Potrzeba tylko spokoju — odrzekła. — Przestraszyłeś się. biedny chłopcze!

— Bardzo!

— Tańczyłeś z nią właśnie. A za wiele już tańczyła. To jest wątłe dziewczę a krwiste. Złe wszelako już minęło. Są tam przy niéj jakieś tutejsze panie. Jam co tylko wróciła, by mieć oko na Idę. Zabawiwszy jeszcze godzinę lub dwie, uspokoi się zupełnie, a potém odwieść ją potrzeba... Zabaw się, potańcz!

— Nie będę już tańczył.

— Odechciało ci się i nie dziw.

We dwie godziny potém sprowadził doktór z Leonem otuloną Walentynę ze wschodów, wolniutko i ostrożnie — a raczéj ją znieśli — i wsadzili do karety. Doktor bardzo wolno jechać kazał.

Leon obejrzał się — tuż obok stał Węgrocki, blady, zmieniony, i wzrokiem nieruchomym oddalający się śledził powóz, — z cierpkiém odwrócił się uczuciem, rzucił się naprzód i karetę wyprzedził. Wysadził następnie Walentynę — i jak dziecko wniósł ją po wschodach; słabo opierała się tylko.

— Leonie... — z cicha zawołała matka, ale tego nie dosłyszał.

Pani Żeglińska czuwała na powrót córki — i przeraziła się strasznie, ujrzawszy krew na béj białéj sukience.

— To nic, mamo... nic... — wyszeptała Walentyna słabo.

Pani Wiesławska usadziła ją zaraz na kanapie — i podała zalecone przez doktora lekarstwo. Opowiedziała płaczącéj matce w najłagodniejszy sposób, co zaszło — i zaręczyła, że doktor zaspokoił ją zupełnie.

— Potrzeba tylko spokoju, wypoczynku. Przez dni kilka nie powinna poruszać się wcale i mało mówić. Wszystko będzie dobrze! — pocałowała pacyentkę w czoło.

Pani Żeglińska przez resztę nocy przy córce czuwała. Walentyna zasnęła — a sen jéj był spokojny.

IV.

Nazajutrz rychło jeszcze było, gdy Leon poszedł do doktora.

— Najszanowniejszy konsyliarzu — zagadał, biorąc go za rękę — cóż, panie, mówisz o stanie panny Żeglińskiéj?

— Hm... Nie dobrze to, ale na teraz złe minęło. Potrzeba tylko zagrodzić, by nie powtarzało się więcéj.

— Czyliż ona cierpi piersiowo?

— Dotąd nie. I może całkiém być zdrowa.

— Wody! — Może wody jakie?

— Reinertz, serwatka...

— Czuwaj, doktorze! Przestrzegaj! Pielęgnuj!... Konsyliarzu szanowny, kochany, pragnę łożyć na wszystko, ale w tajemnicy zupełnéj — uścisnął mu rękę.

— Nasamprzód potrzebna oślica...

— Postaram się o nią natychmiast.

— Ośle mleko goi płuca. A potém..

— Wszystko! Wszystko, doktórze! Żadnych nie szczędzić kosztów, nie oglądaj się na nic. Odpowiem za wszystko!

— Dla pani Żeglińskiéj byłoby to niepodobną.

— Nie szczędź, panie, niczego, błagam! I wybacz, że fundusz na szanowne ręce konsyliarza zaraz złożę.

— Panna Walentyna powinna także lekcyi zaniechać, które ją wycieńczają i nużą. A teraz dobiłoby ją pewnie.

— Zakaż, doktorze szanowny!

— Zapewne, że to uczynię. Ale czynią dochód, więc nie wiem...

— Co tam! Co tam!... Wszakżeż pani Żeglińska gra na loteryą? zapytał nagle.

— Ma z żoną moją do spółki los jakiś — uśmiechnął się doktor z dziwnym wyrazem — hanowerski czyli frankfurtski, ani wiem dobrze. Tych loteryi namnożyło się teraz tyle ku większemu obałamuceniu ludzi...

— Więc gra do spółki z panią konsyliarzową?

— A tak.

— Doktorze! ujął rękę jego w obiedwie dłonie i uścisnął ją silnie. — Doktorze! Popełnijmy kłamstwo!... — mocny rumieniec uderzył mu na lica. — Doktorze kochany!... Niechaj pani Żeglińska wygra 500 talarów. Złożę je zaraz. Ależ tajemnica!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Fryderyk Chopin.

(Dokończenie.)

Obok starań atoli o jak największą mechaniczną biegłość na ulubionym instrumencie*), w któréj wkrótce stanął na wyżynach, dla innych niedostępnych, obok ustawicznej wprawy palców ćwiczeń, których nawet w czasie słabości i choroby nie zaniedbywał (kazał sobie bowiem do łoża fortepian przysuwać) już na kilka lat przed pozyskaniem rozgłośnéj, jako kompozytor, sławy, namiętnie oddawać się począł kongregacyi. Wszystkie jego dzieła większe, znacznie późniéj wydane, licząc w to dwa koncerta, rondo à la Krakowiak, fantazyą na pieśni polskie i wszystkie nieomal pośmiertne, przez Fontanę wydane, datują z epoki pobytu jego w Warszawie. Jeśli przy tém uwzględnimy dar improwizacyi, jakim mało kto oprócz kilku największych i najgłośniejszych w świecie mistrzów mogło się poszczycić, trzeba nam będzie przyznać, że Chopin już pomiędzy 15tym a 20tym rokiem życia był doskonałym w swym zawodzie. Zdanie to stwierdza między innemi wydane przez niego w Warszawie 1sze jego dzieło, t. j. rondo (opera 1) z C-mol, przypisane pani Linde. O tém atoli późniéj.

Na kilka lat przed pamiętnym rokiem 1830, pamiętnym dla kraju i dla samego Chopina, t. j. w roku 1828 przedsięwziął młody artysta w towarzystwie profesora Jarockiego, udającego się na kongres naturalistów, wycieczkę do Berlina, ale z koncertem w téj stolicy nie wystąpił. W powrocie z tego miasta przejeżdżając przez Cylichowę, wstąpił do domu pocztowego, gdzie była stacya i przeprząg koni, a widząc piano otwarte uderzył od niechcenia kilka akordów. Rozciekawiony pocztmistrz, entuzyasta muzyczny, wraz z córkami i pasażerami, poznawszy po tych uderzeniach i kilku pasażach niezwykłego wirtuoza, błaga go wraz z podróżnymi, aby grał a nie lękał się spóźnienia, gdyż on całą odpowiedzialność za takowe przed wyższą władzą na siebie weźmie. I tak w skromnéj salce pasażerskiéj zaimprowizowany został znienacka koncert, posypały się jak z rogu obfitości mazury, walce, etiudy, poczém rozczulony poczmistrz, jak ongi Symeon: teraz mi, Panie, (rzecze) umrzeć nie trudno będzie, bom słyszał mistrza, jakich mało**)." Wracając przez Poznań

*) Fortepian, na którym Chopin bawiąc w Warszawie, uczył się i grywał, przechowywała rodzina z czcią religijną przez lat kilkadziesiąt. W r. 1863, gdy uczyniono zamach na życie hr. Berga, rozbestwiona tłuszcza dzikiego żołdactwa wpadła do pałacu Zamojskich, wszystko zniszczyła lub spaliła, a historyczny ten instrument oknem wyrzuciwszy, w drobne roztrzaskała kawałki.

**) Patrz Karass. młod. Chop. w Bibl. Warszaw. (1862) str. 17.

do rodzinnéj Warszawy, nie uważał Chopin za stósowne dać się publicznie słyszeć; z czegoby wnosić można, że nie zbyt pochlebne miał o znawstwie muzyki w naszym grodzie wyobrażenie.

W rok późniéj (1829) przedsięwziął Fryderyk przez Kraków i rozkoszną dolinę Ojcowa, którą zwiedził, podobną do Wiednia wycieczkę. Myli się atoli Sikorski, twierdząc, że i tu publicznie nie występował *). Własnoręczne jego listy do rodziców pisane, a przez Karassowskiego ogłoszone, dowodzą, że dał się słyszeć w teatrze i powszechny między znawcami obudził entuzyazm. W Dreznie i Pradze, którą z kolei zwiedził, nie dał koncertu. Powrót do Warszawy poprzedził na krótki czas tylko jego ostateczne z ojczyzną i rodziną rozstanie. Wystąpienie jego pożegnalne przypada na rok 1830. Wykonał na niém swój wielki koncert F-mol i rondo krakowskie, a gra jego wywołała entuzyazm, który się różnie objawiał. Rzucano wieńce do stóp artysty, tworzono fantazye, mazury, potpouri na motywa jego kompozycyi, sypały się wiersze przeróżne, ody i dytyramby na cześć i chwałę jego. A gdy nareszcie w listopadzie wyjeżdżał z Warszawy, liczny orszak znajomych, wielbicieli i przyjaciół pod przewodem rektora konserwatoryum muzycznego, zacnego J. Elsnera, odprowadził go do Woli i pożegnał kantatą na cześć jego ułożoną **).

Podróż przedsięwzięta przez Chopina z namowy rodziców i porady nauczycieli dla poznania znakomitości owoczesnych muzycznych, jako téż głównych miast europejskich, słynących z egzekucyi oper i kompozycyi muzykalnych, wiodła go na Wrocław, Pragę i Drezno. W grudniu stanął Chopin w Wiedniu. Tu waryacye jego „la ci darem la mano" sławę jego wznowiły i ustaliły.

Rzecz dziwna! Haslinger, który je wydał w zbiorze kompozycyi zwanym Odeon, nic kompozytorowi za nie ofiarować nie chciał. Tak pomimo podziwu, jaki wywołał, obawiano się nakładu i kosztów dla tego, że wszechwładna a kapryśna moda jeszcze o nim ostatecznego wyroku nie wydała.

Po dość długim w Wiedniu pobycie puścił się do Paryża, nie do Włoch, jak pierwotnie było jego zamiarem, (a to zapewne dla trwających podówczas na italskim półwyspie zamieszek i niepokojów), i stanął w tém olbrzymiém ludzi rojowisku w r. 1831. Kalkbrenner, dzierżący wtedy berło między wirtuozami w stolicy Francuzów, pod którego sterem skromny i mało o sobie rozumiejący Chopin chciał jeszcze kształcić się i pracować, poznawszy w młodym Fryderyku od razu niepospolitego mistrza i namaszczenie na wieszcza, pragnął się nim przed światem pochlubić jako swym uczniem i położył mu za warunek trzy lata nauki. Elsner atoli, którego Chopin przezornie o radę zapytał, wręcz mu propozycyą odrzucić polecił. I uważmy! Gdzież dzisiaj się podziały, gdzie wykonywają kompozycye Kalkbrennera, gdy przeciwnie Chopin nie zszedł i nigdy nie zejdzie z pulpitu lubownika wznioślejszéj muzyki. — Tymczasem zyskać, zdobyć sobie wstępnym bojem w tym nowym Babylonie sławę, ustalić reputacyą, wyrobić pewną pozycyą, nie tak to łatwo było. Już zwątpienie ogarniało młodego Fryderyka, już myślał przenieść się na drugą hemisferę i osieść w Ameryce: aż nareszcie pomyślniejsza zabłysła gwiazda. Domy L. Platera, Czartoryskich, Grzymałów, Potockich wzięły go w swoją opiekę ***). Żądaniom lekcyi (po luidorze i więcéj godzinę) podołać nie mógł, a nakładcy kompozycyi muzycznych o dostarczenie coraz nowych utworów naprzykrzać się zaczęli. Lipsk szczególnie zyskał prawie monopol publikacyi dzieł jego, a jenialny Robert Schumann, w muzyce twórca szkoły romantycznéj w Niemczech, w swéj „Neue Zeitung für Musik" dał światu poznać ten najpotężniejszy i najświetniejszy po śmierci Beethovena i Szuberta jeniusz.

*) Sikorski str. 519.

**) Zobacz artykuł Wojkowskiego w Przyjacielu Ludu rok 2gi, nr. 28, 29, 30.

***) Sowiński (Musiciens Polonais et slaves. Artykuł „Chopin").

Sława naszego wieszcza i cudownéj gry jego ułatwiła mu znajomość z najpierwszemi znakomitościami świata literackiego i artystycznego. Mejerbeer, Henryk Heine, Wytwicki, Słowacki, Mickiewicz lubili słuchać jego improwizacyi. Dwaj ostatni natchnieniem jego porwani pewnego wieczora dłoń sobie podali i w wzajemnym uścisku zapomnieli długoletnich sporów i uraz.

W roku 1863 poznał kobietę, która przeważny, stanowczy wpływ wywrzeć miała na resztę jego żywota. Była nią George Sand. Wrażenie, które początkowo na nim uczyniła, było nie zbyt korzystne; tak przynajmniéj wnosić można z listu Chopina do rodziców po pierwszém jéj ujrzeniu pisanego. Ale wkrótce rzecz tak dalece się zmieniła, że odtąd Chopin stał się nieodstępnym jéj towarzyszem. Przebywał bowiem ustawicznie w jéj willi pod Marsylią położonéj, a nawet z nią pospołu bawił kilkanaście tygodni na wyspach Balearskich, dokąd się był wybrał dla poratowania zagrożonego chorobą piersiową zdrowia. Niewyjaśnionemi są dostatecznie stósunki, jakie zachodziły między Chopinem i autorką Lelii; może nawet ich wyjaśnienie jeszcze nie jest na czasie. Wiadomo, co sam o nich mówił: „Biedna ja pajęczyna; przylgnąłem do chwiejącéj się ściany, a i ta upadła *)." To tylko pewna, że stósunki te w roku 1847 z najzgubniejszym skutkiem dla zdrowia mocno już osłabionego wieszcza nagle zerwane zostały. Wielkie koncerta w Paryżu i Anglii (na dochód wychodźców polskich w Guildehall), gdzie nawet u dworu dał się słyszeć, były wprawdzie jedném nieprzerwaném pasmem tryumfów i najszczytniejszych powodzeń; ale zarazem do reszty wyczerpały siły, już i tak strawione nieuleczoną chorobą piersiową, któréj zaród od dawna w sobie nosił. Ledwo stanął w Paryżu, położył się, aby już nigdy nie powstać. Na kilka chwil przed śmiercią kazał sobie zagrać: Jeszcze Polska nie zginęła. Umarł dnia 17go października 1849. Ciało jego, wystawione na widok publiczny, ledwo widać było wśród szpalerów kwiatów **), które za życia tak lubił, i których pełno zawsze stało w jego mieszkaniu na etażerach. Mimo burz i przewrotów politycznych, które wtedy Europę wstrząsały w posadach, żal powszechny i nieutulony towarzyszył wieści o jego zgonie. Pogrzeb jego odbył się wśród najliczniejszego udziału ludzi znamienitych w polityce, sztuce i piśmiennictwie. Wspaniałe Requiem Mozarta odegrane zostało w czasie mszy żałobnéj. Najpierwsze znakomitości muzyczne Paryża ubiegały się o zaszczyt trzymania końców całunu, pokrywającego trumnę jego. Ciało wśród przejmujących wdzięków jego marsza żałobnego z sonaty B-mol odprowadzono na wieczny spoczynek do Père-Lachaise. Serce na jego życzenie złożone zostało w kościele św. Krzyża w Warszawie.

Zgasł tedy wieszcz, jakiemu Polska równego nie miała. Zgasł, nie doczekawszy się powrotu do ojczyzny, którą nad wszystko miłował. W ostatnich czasach przed zgonem mówił do znajomego odjeżdzającego w Poznańskie: zawód mój publiczny już jest skończony. Macie kościołek we wsi. Dajcie mi przy nim przytułek i chleba kawałek, a będę Wam wygrywał na organach hymny na cześć Przenajświętszéj Dziewicy, póki mię mój Stwórca do siebie nie powoła ***)."

*) Przegląd pozn. Poszyt XI nekrolog Chopina.

**) Zob. Liszt, Fr. Chopin.

***) Przegląd (XI 1849) Nekr. Chop.

Zgasł szczęśliwy, bo nie dożył tylu zawiedzionych nadziei, tylu rozczarowań, nie dożył niedoli i poniewierki kraju, za którym tęsknił, nie dożył urągowiska nieprzyjaciół jego, nie doszedł uszu jego z ziemi łez i ucisku okrzyk zwycięski rozbestwionéj tłuszczy oprawców, pastwiących się nad bracią jego. Może łaskawa Opatrzność, chcąc mu oszczędzić widoku, któregoby nie mógł przenieść, wcześnie go powołała w grono aniołów, którym duchem i sercem był pokrewnym.

M. S.

Dzieje sceny polskiéj w Wielkopolsce*).

Pisząc dla czytelników **Sobótki**, a więc głównie dla Wielkopolan, czuliśmy się w obowiązku dzieje sceny polskiéj w Poznańskiém i w Prusach Zachodnich obrobić obszerniéj nieco, i dla tego, choć żadna prowincya dawnéj Polski nie przedstawia pod tym względem tak szczupłych materyałów, przedmiotowi temu poświęcamy dział osobny.

Chociaż Poznań dopiero przy drugim podziale przeszedł pod obce panowanie, choć wkrótce potém na lat kilka odetchnął pod efemerycznêm berłem W. Księstwa, żadne przecież inne miasto polskie tak się niezaniedbało pod względem zamiłowania i rozwoju sztuk pięknych, jak stolica najstarszéj polskiéj dzielnicy.

Wielkopolska wydaje cały szereg znakomitych uczonych, myślicieli, filozofów, mężów stanu, cały zastęp zacnych patryotów i obywateli w najpiękniejszém tego słowa znaczeniu, ale poety, malarza, rzeźbiarza, muzyka, słowem artysty znakomitego nie spotkamy wcale.



Nie miejsce tu zastanawiać się nad powodami tego zjawiska, ani rozbierać korzystne lub niekorzystne jego wyniki; zaznaczyć wypadało jedynie fakt niezaprzeczony, którego potwierdzenie znajdziemy również także w niniejszym rysie. Poznań i ze względu na wielkość swoją, i na liczbę a zamożność ludności polskiéj, stoi mało co gorzéj od Krakowa, co najmniéj na równi z Wilnem, a lepiéj daleko jak Żytomierz np. lub Kamieniec Podolski.

Polityczny ucisk nie był tu także większym, jak w tamtych miastach, a jednak, jak to zobaczymy zaraz, Poznań, jakby jakie małe miasteczko zadowalniał się jedynie przyjeżdżającemi tu od czasu do czasu towarzystwami artystów.

Przedstawienia przecież teatralne nie obce były Poznaniowi od bardzo dawnych już czasów. „W wspomnieniach Wielkopolski“ Raczyńskiego (Tom II) znajduje się n. p. afisz jezuicki z r. 1623, a wcześniéj jeszcze, bo w r. 1619 grano także w konwikcie jezuitów tragedyą p. t. „Grenezyusz.“ Za Zygmunta III grali studenci publiczny dyalog, wyszydzający trefnisia Rialta. Obecny temu Włoch pogniewał się i obił kijem jednego

*) Pod tym tytułem podajemy dalszy ciąg obszerniejszego artykułu: O Teatrze narodowym.

z aktorów. Ztąd bójka i zaledwie opieka biskupa Czarnkowskiego uratowała biednego błazna od śmierci.

W r. 1650 znów znajdujemy ślady przedstawień scenicznych u jezuitów. Grano w tym roku tragedyą „Chozroes“ i „Rybałtowską komedyą“, a w 1670 dyalogi na cześć św. Antoniego.

Zdaje się nawet, że przedstawienia te, jak widzimy, częścią religijne, częścią świeckie, powtarzały się prawie co roku i stały się niejako zwyczajną rozrywką młodzieży, a wielką ludu uciechą. W XVIII wieku powtarza się to samo. Od r. 1748 do 1774 ks jezuita Bielski drukuje tu swoje tragedye, które wszystkie prawie bywają po kilka razy przedstawiane, a prócz tego młodzież gra w tych latach następujące sztuki, a raczéj dyalogi: „Niewinność zwyciężca potwarzy“, „Sataryn“, „Roman Cesarz“, „Syngarada.“

Dowodzi to w każdym razie, że OO. jezuici nie znajdowali nic zdrożnego w przedstawieniach scenicznych.

Zdaje się jednak, że dopiero na rok 1784 przypadają pierwsze przedstawienia teatralne przez artystów z powołania. W tym bowiem dopiero roku spotykamy pierwszą wzmiankę o otwarciu teatru w szkole pojezuickiéj, pod dyrekcyą jakiegoś Srokowskiego. Za każde przedstawienie płacił on magistratowi po 6 złp. Jak się tu próba powiodła, jak długo się Srokowski trzymał, nie wiadomo. Dopiero bowiem znów w r. 1796 po rozbiciu teatru warszawskiego, przybył tu na czas jakiś Truskolawski z resztą artystów i dobrze mu się powodziło.

Ale w tymże samym roku zjawia się natychmiast i teatr niemiecki. Niejaki Doebbelin otrzymuje wyłączny przywiléj na zimowe przedstawienia r. 1796 i 1797 i naturalnie na mocy tego przywileju wypiera Truskolawskiego. Niemieckiéj wszakże trupie nie powodzi się jakoś, bo oto Doebbelin zobowiązań wypełnić nie może a to jak się tłómaczy z powodu braku gmachu (sic) stósownego i dla tego żąda, żeby miasto złożyło 6000 talarów, a on teatr wybuduje.

Wezwanie to jednak pozostało bez skutku, i teatr nadal, bo aż do r. 1804 pozostał w szopie Geislerowskiéj (przy placu Działowym).

W r. 1800 zawitał tu poraz pierwszy Bogusławski, ktory po opuszczeniu w roku poprzednim Lwowa sformował nową trupę i z Warszawy robił po kraju wycieczki. Przyjęty jak wszędzie dobrze i serdecznie, wraca on co rok w latach następnych, ale znać, że samo miasto nie dostarcza mu widzów, bo bawi tylko przez czas jarmarku św. Jańskiego zwykle od połowy czerwca do połowy lipca, rzadko dłużéj.

W r. 1802 zaczęto budować nowy teatr na placu Wilhelmowskim, rząd dał 3500, a resztę wedle kosztorysu, który był obliczony na 17000 tal., magistrat ściągał za pomocą składek, jak tego dowodzi odezwa tegoż magistratu z 5 stycznia 1802 r.

W r. 1804 teatr został ukończony i w następnym roku Bogusławski, przybywszy tu jak w poprzednich latach na jarmark, dał już w nowym budynku kilkanaście przedstawień.

Niezmordowany nasz dyrektor zjawił się tu i w r. 1806, a gdy teatr zajęty był na skład wojskowy, urządził sobie scenę w hotelu saskim, a dekoracye pożyczył od hr. Mycielskiego z Kobylopola z ich pałacowego teatru.

W trzech następnych latach, znowu w końcu czerwca, zjeżdżają tu regularnie artyści warszawscy już to z Bogusławskim, już bez niego, ale wycieczki te się nie powodzą i Poznań nie zapełnia nawet kilkunastu tych przedstawień. Prawda, że to były lata wielkich ofiar, gdy cała uwaga ku polityce się zwracała, a wszystkie wysilenia dążyły do zorganizowania i stworzenia sił narodowych w tym poronionym płodzie napoleońskiéj polityki, który się zwał Wielkiém Księstwem Warszawskiém. Jednakże w r. 1810 prócz zwykłych odwiedzin aktorów warszawskich z Domaszewskim na czele, było tu przez całą zimę towarzystwo Kaspra Kamińskiego i choć z trudem trzymało się jako tako.

Odtąd zdaje się nastąpiła kilkoletnia przerwa, bo aż do r. 1815 nie znajdujemy śladu przedstawień polskich w Poznaniu W tym dopiero roku, gdy Wielkopolska znowu się pod panowaniem pruskiém znalazła, bawił tu Bogusławski od września do kwietnia i zaraz w czerwcu r. 1816 wrócił napowrót, by skorzystać z jarmarkowéj pory.

Ale stary weteran sceny narodowéj zaczął już wtedy z pola schodzić, a i położenie polskiego teatru w Poznaniu bardzo się utrudniło. Zaraz bowiem po okupacyi rząd udzielił koncesyę na teatr niemiecki Vogtowi, który utrzymawszy się przy niéj aż po r. 1852, przybywających dyrektorów polskich darł bez litości i sumienia. Zdaje się też, że bytność Bogusławskiego w r. 1816, była jego pożegnalną ostatnią wizytą, jaką oddał Wielkopolskiéj stolicy.

Wprawdzie w r. 1818 zjechali tu aktorowie polscy, ale była to już trupa wędrowna z Milewskim na czele i bardzo krótko bawiła.

Dopiero w r. 1821, stary Bogusłuwski, zawsze pamiętny na obowiązek rozlewania światła jak najszerzéj, wysłał tu zięcia i następcę swego w dyrektorstwie sceny warszawskiéj, Osińskiego. Było to towarzystwo znakomite, bo wtedy teatr warszawski, świetniał kilkoma pierwszorzędnemi talentami, ale widać dość chłodno musiał ich przyjąć Poznań, bo ta wycieczka nie powtórzyła się więcéj. Tylko w r. 1823 zjawił się tu na krótko Skibiński ze swém towarzystwem.

Potem nastąpiła długa, niezmiernie długa, bo kilkunastoletnia przerwa. Czém tę przerwę wytłómaczyć? Niema powiatowéj mieściny w Królestwie, któraby wytrzymała taki przeciąg czasu bez przelotnych, choćby amatorskich widowisk, któraby się obyła bez téj duchowéj, drogiéj każdemu wykształconemu człowiekowi przyjemności, która się teatrem zowie.

Dopiero na schyłku czwartego dziesiątka bieżącego stulecia, gdy młodsza generacya licząca w szeregach swych Libeltów, Marcinkowskich, Rymarkiewiczów i t. d. pracami swojemi rozbudziła narodowego ducha, zaczęto i o teatrze myśleć.

W r. 1839 dał tu Anczyc z towarzyszami 25 przedstawień, w następnym bawił na kontraktach Raszewski z dość nędzną trupą, w r. 1841 zaś Łoziński, a na początku r. 1842 zjechał do Poznania Chełchowski z gronem artystów, między którymi spotykamy Królikowskiego, Rychtera, Chomińskiego i Palczewską.

Po latach więc 20 przeszło, t. j. od bytności Osińskiego, zobaczył Poznań poraz pierwszy dobrą prawdziwie artystyczną grę polskich artystów. Były to, prócz tego czasy wielkiego ruchu umysłowego i literackiego, rozwijającego się na tle narodowém. To życie, które miało się na chwilę przerwać katastrofą r. 1846, by potem tem silniéj i stanowczéj korzenie zapuścić w najgłębsze warstwy narodu, tętniało już w zimniejszych i gorętszych sercach.

Pod wpływem więc tego prądu i zachęcona zapałem, z jakim publiczność przyjmowała Chełchowskiego, gromadka mężów poznańskich postanowiła stworzyć stały teatr polski w Poznaniu. Historyą tych szlachetnych, choć niestety bezowocnych usiłowań, zostawił nam jeden z tych ludzi, Władysław Wężyk, w małéj książeczce zatytułowanéj: Historya siedmiomiesięcznego teatru w Poznaniu. Poznań, r. 1843. Pracę tę polecamy gorąco tym wszystkim, którzy dziś podobną myśl podnoszą, jest bowiem ciekawą i nauczającą.

Brak miejsca nie pozwala nam robić z niéj zbyt obszernych wyjątków, ograniczyć się więc musimy na suchém jéj streszczeniu. W końcu r. 1842 podano do

rządu prośbę o udzielenie koncesyi Chełchowskiemu, na utworzenie stałego teatru polskiego. Rząd odmówił pod pozorem, że Chełchowski nie jest poddanym pruskim, i żeby rzecz tę jak najprędzéj ubić, dał koncesyą na teatr polski na rok jeden Vogtowi.

Vogt sprowadził wprawdzie kilku, potem kilkunastu artystów polskich i zarząd nad nimi oddał Anczycowi, ale naturalnie artyści to byli co najlichsi, dyrekcya słaba i teatr szedł, a raczéj chromał z biedą. Wtedy ci sami, którzy u rządu kołatali o koncesyę dla Chełchowskiego, zawiązali się w stowarzyszenie, by opieką moralną i materyalną pomocą wspierać nawet lichy ten teatr, schwycić w ręce jego kierunek i następnie, stopniowo, do coraz wyższéj doprowadzić go doskonałości. Ogłoszono więc rodzaj składki i za pomocą listów subskrypcyjnych zebrano około 2000 talarów, starano się zachęcać zamożniejszą publiczność do uczęszczania, kierunek administracyjny przyjmowali na siebie to Jarochowski, to Moraczewski, to Stefański, to Kolanowski. W jaskrawych barwach i nie bez pewnéj goryczy chłoszcze Wężyk w broszurze swojéj obojętność publiczności poznańskiéj, między innemi półżartem, półseryo proponuje środek, który i dziś może byłby bardzo na czasie.

„Gdyby wolno było wymagać po nich téj ofiary, mówi on, zażądalibyśmy od kilku najpiękniejszych panien, lub dam najmodniejszych, ażeby równie jak dziewice dawane przez starożytne miasta w okup smokowi, co szkodził ojczyźnie, — przez jakie sześć miesięcy przejęły na siebie obowiązek bywania na każdém przedstawieniu w teatrze, siadując w odstępach znacznych od siebie i czasami na drugiém piętrze. Jeśli nam się uda przywiązać do słupków lóż kilku renomowanych episierów, na tenże sam przeciąg czasu, tośmy wygrali! bo i panicze z wyszwarcowanemi wąsami i panienki z mamami uczęszczać będą do nas regularnie jak jedni na bilard, a drugie do kościoła, — a jak raz udepcą tę drogę, to może znawstwo i miłość sztuk znajdzie się u kresu!..“

Wszystkie te jednak wołania nie na wiele się przydały, choć nie można winić bezwarunkowo publiczności, bo wedle sądu samego Wężyka teatr był nad wszelki wyraz nędzny. Anczyc, zawsze mierny aktor, zamało miał zdolności na dyrektora i był za stary. W całém gronie ani jednego wyższego talentu nie było. Z kobiet wyróżniała się nieco pani Walde, w niektórych także rolach Stachowicz, Pietrzykowska, Szymańska, Biernacka i Cichocka, z mężczyzn Szturm, Skarzyński, Krzesiński, Pietrzykowski, Fedecki. O innych nawet wspominać nie warto.

W takim składzie nowy teatr byłby upadł już po dwóch miesiącach istnienia, gdyby nie hr. Maciéj Mielżyński, profesor Rymarkiewicz i kilku innych, którzy go w tym czasie wzięli w opiekę. Nowy komitet miał z początku zamiar odkupić przywiléj od Vogta, by z jego kontroli zupełnie teatr usunąć i zreformować, a tymczasem, byle utrzymać to, co jest, płacił mu rodzaj miesięcznéj subwencyi. Z wykazu przez Wężyka podanego pokazuje się, że gaża 21 artystów wynosiła miesięcznie tylko 497 tal., a wedle rachunków Vogta, teatr polski od 1 stycznia do 1 lipca przyniósł tylko 1230 tal., komitet więc dopłacił mu w ciągu tych sześciu miesięcy 1752 tal.

Sprawa z Vogtem szła także oporem. Niemiec żądał sum bajecznych, rościł dzikie pretensye. Komitet więc postanowił tylko podtrzymywać teatr aż do upływu koncesyi jego, a potem uzyskać takową od rządu na jednego z poddanych pruskich, któryby dyrekcyą prowadził pod kontrolą komisyi, wybranéj przez walne zebranie akcyonaryuszów teatralnych. Wtedy dopiero przystąpić miano raźno do radykalnego zreformowania teatru i zmiany artystów. Postanowiono nawet wynająć odpowiedni bydynek i przerobić go na stały teatr polski.

Ponieważ to wszystko wymagało nowych i dość znacznych funduszów, przeto rozesłano nowe listy subskrypcyjne, i wypuszczono 100 talarowe akcye. Ile pieniędzy tą drogą wpłynęło ostatecznie? nie wiadomo, bo gdy Wężyk drukował swoje sprawozdanie, większa połowa list nie wróciła jeszcze.

Kończąc cztero-miesięczną swą pracę komitet przedstawił walnemu zgromadzeniu, zebranemu w dniu 5 lipca 1843 r. następujące kwestye:

1) Komu powierzy zgromadzenie opiekę nad zebranemi i mającemi się zebrać funduszami przeznaczonemi na utrzymanie teatru w przyszłości.
2) Co przedsięweźmie względem niektórych artystów polskich, którzyby mogli nadal służyć użytecznie narodowéj scenie.
3) Jakie obierze środki do prowadzenia sprawy teatralnéj tymczasowo i nadal, ażeby ile możności sprawa narodowéj sceny nie doznała szkodliwéj przerwy, gdyż o upadek téj sprawy przy powszechném obudzeniu się ducha już lękać się nie potrzeba.

Ostatni ten frazes dowodzi, jak mylą ludzkie nadzieje, bo niestety! gdy komitet słowa te pisał, urywał się włos, na którym wisiał miecz Damoklesa nad biednym teatrem błyszczący.

Wszyscy jednak byli najlepszéj myśli i nikt nie wątpił, że byle kandydat na dyrektora był pruskim obywatelem, rząd koncesyi nie odmówi. W tém też przekonaniu walne zgromadzenie wybrało do tak nazwanéj teatralnéj opieki następujące osoby: Macieja Mielżyńskiego, Karola Marcinkowskiego, Władysława Wężyka, Szułdrzyńskiego, J. Rymarkiewicza, J. K. Radeckiego, Wildena. Dotąd dochodzi tylko sprawozdanie Wężyka, ale zkąd inąd wiadomo, jak się ta sprawa skończyła. Vogt zrzekł się wprawdzie koncesyi, ale rząd jéj odmówił i komitetowemu kandydatowi, czyli inaczéj, teatr stały polski w Poznaniu został przez rząd zakazany, a z zakazem tym opadły majętniejsze ręce, i cała sprawa utonęła. Nie pozostawało więc jak zadowalniać się na pewien czas przyjeżdżającą sceną. Z poprzedniéj pracy i z zakazu rządowego ta się jednak korzyść została, że publiczność czuła już goręcéj potrzebę teatralnych przedstawień i zapewniała możność egzystencyi przedsiębiorcom.

Jakoż wkrótce po rozbiciu trupy Anczyca, w roku 1844 przybywa Pfeiffer z Krakowa, a wsparty przez Królikowskiego i Chomińskiego, Radzyńską i śliczną Piqué, trzyma się tu z powodzeniem i zyskiem całe lato. Gazeta zaś Poznańska umieszcza w tym czasie szereg artykułów o teatrze. Nie gorzéj mu się powodziło w roku następnym. W r. 1846 nie było po co przyjeżdżać, bo wszystko, co szlachetne i zacne, zapełniało cele Moabitu. Za to przybył znów Pfeiffer w r. 1847 ale z innymi, gorszymi daleko artystami; bo ta sama katastrofa, która wyludniła Poznańskie, rozbiła i trupy galicyjskie. Również w latach 1848 i 1849 o czém innném, jak o teatrze myślano. W r. 1850 był tu dość krótko Chełchowski, w r. 1851 tylko teatra amatorskie w pałacu Działyńskich.

W r. 1852 przy przedłużeniu koncesyi Vogtowi, udało się członkom polskim magistratu przeprowadzić warunek, zobowiązujący go do zezwolenia na 36 polskich przedstawień*) co naturalnie niezmiernie polepszyło położenie przybywających dyrektorów od których dotąd Vogt brał zwykle połowę dochodu**). Jakoż w tym roku Chełchowski długo dosyć bawił i wyjechał z korzyścią.

Odtąd aż do 1862 r. bez przerwy prawie co rok

*) Późniéj z warunku tego zwolniono znowu niemieckiego przedsiębiorcę.

**) Dziś bierze $1/3$ a jeden dzień w tygodniu oddał na wyłączny dochód dyrekcyi przybyłéj.

zjawia się w Poznaniu na letnie miesiące, na krócéj lub dłużéj, to Chełchowski, to Pfeiffer. Od roku zaś 1865 stale co rok na trzy miesiące przybywa teatr krakowski, który jednak mimo wybornéj gry artystów nie zawsze opuszcza Poznań bez straty materyalnéj.

Przyczyna tego dziwnego a smutnego faktu leży zapewne w wielkiéj części w obojętności ogółu, dla którego teatr chwilowo tylko bawiący nie stał się jeszcze potrzebą życia, więcej przecież daleko w letniéj porze, która wyludnia miasta z warstw zamożnych i inteligencyi, a przedewszystkiem w olbrzymim podatku, jaki płacić trzeba przedsiębiorcy niemieckiemu. Ale nad tem zastanowimy się obszerniéj w następnym, ostatnim rozdziale niniejszego rysu.

Tu zakończymy rzutem na miasta prowincyonalne Wielkopolski i Prus Zachodnich. Smutna to historya! Ubóstwo stolicy odbiło się naturalnym porządkiem rzeczy na prowincyi i to podniesione do kwadratu.

Jeżeli materyały, zresztą bardzo dokładne, jakie mamy pod ręką, nie mylą nas, to jedno tylko Gniezno widziało teatr polski jeszcze w r. 1816. Wtedy bowiem część aktorów warszawskich, bawiących w Poznaniu (Milewski, Cwikliński, Włodek, Grochowski, Parysówna) zrobiła tu wycieczkę podczas jarmarku na Św. Wojciech i dała kilka przedstawień. W r. 1841 przebywał tu czas jakiś Łoziński. Na dłuższy czas, bo na tydzień cały, przyjechał do Gniezna także podczas jarmarku Pfeiffer w r. 1855 i doskonale mu się powiodło. Zachęcony, wrócił tu jeszcze w czerwcu i objechał ztąd Września, Środę i Trzemeszno. W Dębnie był w r. 1850 Chełchowski i grywał przez miesiąc z powodzeniem.

W tych kilku słowach, w téj jedynéj bytności artystów polskich, zamyka się cała historya teatru narodowego na prowincyi w XIX wieku. Dziwnaż, jeżeli jezyk kaleczeje w obec tego, jeżeli wykształcone nawet warstwy mówią akcentem rażącym dla ucha polskiego? Gorzéj jeszcze w Prusach Zachodnich. Chcąc znaleść tam ślad dramaturgii polskiéj, cofnąć się trzeba aż do ubiegłych stuleci. W XVII wieku grywano w Toruniu bardzo często polskie dyalogi, między innemi: „Pogrzeb żywego pijaństwa", „Nowy raj dowodem żywota" i t. p. W Gdańsku Maryą Ludwikę przyjmowaną operą włoską, a w XVIII wieku uczniowie jezuiccy odgrywali co rok parę dyalogów po polsku. W r. 1797 był tu Truskolawski z towarzyszami i bardzo dobry zrobił interes, ale w lat kilkanaście tak się postać rzeczy zmieniła, że przybyły tu w r. 1811 r. Bogusławski, w ciągu miesiąca stracił 10,000 złp. W Chełmnie i Brodnicy, a szczególniéj w pierwszém z tych miast grywano dyalogi. Widzimy z tego, że w Poznańskiém, a bardziéj jeszcze w Prusach Zachodnich zaginęłoby nawet wyobrażenie o teatrze narodowym, gdyby nie teatra amatorskie. Szlachetna ta, przyjemna i pożyteczna zabawa, choć powoli, zaczyna przecież coraz więcéj w zwyczaj wchodzić. Niema roku prawie, żeby w Gnieźnie, Pleszewie, Wrześni, Srodzie, Gostyniu, Grodzisku Toruniu i Chełmnie nie dano choć parę przedstawień amatorskich. Ludzie, którym język i oświata narodowa leży na sercu, pisma peryodyczne, powinny wszelkiemi środkami prąd ten, czy tę wodę, podtrzymywać i rozwijać, bo to jedyny choć słaby środek obznajmienia naszéj publiczności z literaturą dramatyczną naszą i sposobem mówienia po polsku.

ROZMAITOŚCI.

(Drzewo mleczne patrz rycinę str. 401). W Brazylii, w okolicach rzeki Rio, znajduje się zadziwiające drzewo, zwane przez krajowców mlecznem. Rośnie ono po większéj części na miejscach kamienistych, zapuszczając korzenie w rozpadliny skał, po nad któremi rozwija swe cudne liście, podobne do skóry. Jeżeli w przeciągu kilku miesięcy deszcz nie odświeży jego liści, wtedy i wszystkie gałęzie stają się jakby umarłemi, lecz mimo to, gdy się przetnie łodyga, zaraz wytryska z niéj słodkie i pożywne mleko, skąd téż i nazwę mlecznego nadano temu drzewu.

Przy wschodzie słońca mianowicie rosnące to źródło ciecze nie równie obficiéj, niż o któréjkolwiek innéj porze, z czego korzystając okoliczni mieszkańcy spieszą wtedy ku niemu z dużemi dzbankami, pragnąc czémprędzéj napełnić je świeżém mlekiem, które bardzo prędko żółknie i zgęszcza się. Mieszkańcy tamtejsi po kolorze i gęstości liścia z taką łatwością poznają te drzewa, w których więcéj jest mleka, że prawie nigdy się nie mylą. Drzewa tego nadto używają do budowy okrętów, należy bowiem do największych w lasach brazyliańskich. *

W sprawie stałego teatru polskiego w Poznaniu.

Pan Miłosz Sztengel, dyrektor Towarzystwa Artystów dramatycznych, przybył w tych dniach do Poznania, ażeby się przekonać na miejscu, o ile projekt założenia stałego teatru polskiego w Poznaniu ma widoki na przyszłość i ażeby, jeżeli nie natrafi na większe przeszkody, poczynić stósowne kroki do urządzenia sceny polskiéj. Pan Sztengel jest znany jako utalentowany i energiczny dyrektor, oddany wyłącznie sztuce narodowéj, przebywał różnemi czasami w wielu miastach Galicyi i Królestwa Polskiego, gdzie zawsze występował z wielkiém powodzeniem i budził ducha narodowego i zamiłowanie do sztuki. Najwięcéj bawił w Stanisławowie i w Tarnowie, w ostatnich zaś miesiącach w Częstochowie, gdzie udało mu się przedstawić na scenie znaną komedyo-operetkę Krakowiaków i Górali. Wymowny dowód, jak p. dyrektorowi Sztenglowi chodzi o podniesienie ducha narodowego, gdy się pokusił po za kordonem wyprowadzać na scenę tak narodową sztukę.

Pan Sztengel zjechał się w mieście naszém z Dr. Rakowiczem, wydawcą Gazety Toruńskiéj, który, jak wiadomo, pierwszy powziął szczęśliwą myśl o stałym teatrze polskim i wtedy, kiedy mało kto o tém myślał, popularyzował z uznania godną wytrwałością pomysł, który dzisiaj, daj Boże, zdaje się nie być bez przyszłości, mimo z rozmaitych stron publicznie objawianych niedowierzań a nawet wyraźnych niechęci, które niestety tak często demoralizująco działają na nasze i tak już słabe a nadwątlone siły, które wiarą krzepić, a nie brakiem wiary w siebie rozpraszać należy. Stósunki społeczności naszéj pod zaborem pruskim nie przedstawiają wprawdzie bardzo pocieszającego obrazu, ależ tyle jeszcze mamy w piersiach naszych życia, że nie potrzeba nam oddychać zwątpieniem i rozpaczą i oddechem téj rozpaczy zatruwać naszéj moralnéj atmosfery. Kto chce żyć, musi mieć odwagę do życia; nie dość wegetować i pędzić żywot, czerpiąc z kapitału przeszłości narodowéj, dzisiaj trzeba w obrachunek wprowadzić i kredyt moralny, — a tym kredytem — to wiara w lepszą przyszłość. Bez wiary silnéj niczego nie zbudujemy, nawet lichéj szopy dla przyszłéj sceny narodowéj w dawnym grodzie Piastów.

Pan dyrektor Sztengel, przekonawszy się osobiście na miejscu, jak usilnie pragnie publiczność Wielkopolska stałéj sceny polskiéj w Poznaniu, powziął zamiar już z Nowym Rokiem zawitać w mury miasta naszego z swojém Towarzystwem i niezwłocznie rozpocząć przedstawienia teatralne, w nadziei, że go publiczność przyjmie jak najserdeczniéj i poprze go wszystkiemi siłami, o czém téż wątpić nie należy.

Gaz. Tor. zamieściła następną zagadkę, którą dla jéj oryginalności podajemy do rozwiązania Czytelnikom Sobótki:

„Nazwisko pewnego sławnego artysty polskiego zawiera siedem liter, które tworzą z rzędu pierwsze litery nazwisk następujących sławnych mężów polskich: 1, poety, 2, historyka, 3, pianisty, 4, malarza, 5, przyrodnika, 6, astronoma, 7, rzeźbiarza. Poeta umarł w Carogrodzie, historyk ma włoskie nazwisko, pianista urodził się w Warszawie, malarz nosi nazwę wielkiego proroka, przyrodnik założył ogród botaniczny w Wilnie, astronoma zna każdy, rzeźbiarz ma w nazwisku jednę literę więcéj jak teść Ludwika XV."

Szarada.

Pierwsze zwierzę, drugie zwierzę,
Nieporosłe żadne w pierze.
Wszystko razem bardzo głośne
Dla mieszkańców miast nieznośne.

(Rozwiązanie szarady w nr. 49: **Turczynki.**)

PUSZKA DO LISTOW.

Panu N. N. z Ostrowa: Otrzymaliśmy. — Panu Paulinowi St. w Lwowie Dziękujemy. — Panu Bart. w Lwowie: Przed 15 m. b. nadeślemy.

Redaktor odpowiedzialny: Dr. Roman Szymański w Poznaniu, Lipowa ul. nr. 2. — Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu.
Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.